

## Ameryka zbuntowana

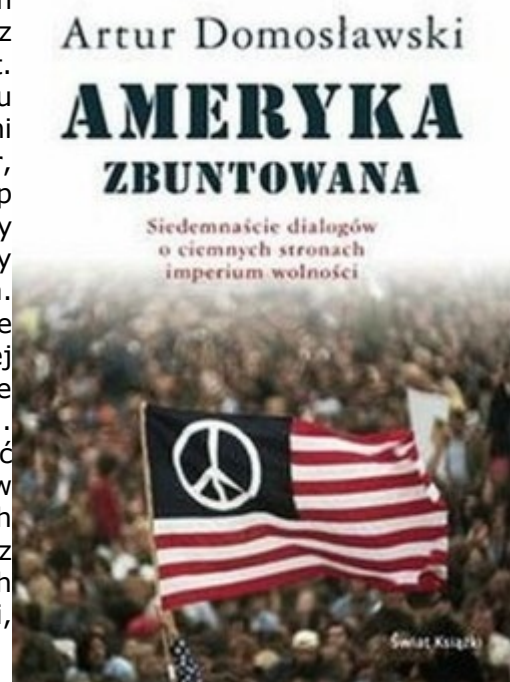
Autor tekstu: **Marcin Punpur**

„Obserwujemy w Ameryce erupcję irracjonalizmu,  
która w połączeniu z kulturą masowych mediów  
– telewizji i kina – tworzy niebezpieczną mieszankę”  
J. Schell

16 grudnia 1773 do portu w Bostonie, do nabrzeża Griffina przyplłynęły trzy statki – *Dartmouth*, *Eleanor* i *Beaver* – należące do Kompanii Wschodnioindyjskiej, wiozące ładunek herbaty przybyłej z Indii. W nocy poprzedzającej dzień, kiedy herbata miała być rozładowana, 60 mężczyzn, członków konspiracyjnej organizacji patriotycznej „Synowie Wolności”, w przebraniach Indian, wdarło się na statki i zniszczyło cały ładunek herbaty, wyrzucając go do zatoki. Cała akcja została błyskawicznie przeprowadzona i odbyła się bez użycia przemocy. W historii zapisała się jako „Bostońskie picie herbaty”. Tak rozpoczęła się rewolucja amerykańska, która dała początek Stanom Zjednoczonym Ameryki.

Był to bunt wymierzony przeciwko bezprawnym działaniom Brytyjczyków, forsujących niesprawiedliwą politykę handlową wobec swych kolonii. Dziś Ameryka jest wolna. Nie oznacza to jednak, że bunt wygasł wraz z jej wyzwoleniem. Istnieje on ciągle w amerykańskiej kulturze, choć oczywiście w innej formie.

Znakomity przegląd współczesnych form amerykańskiego protestu daje książka jednego z publicystów Gazety Wyborczej Artura Domosławskiego pt. „Ameryka zbuntowana”. Jest to zbiór siedemnastu rozmów jakie przeprowadził autor z wybitnymi intelektualistami zza oceanu. Noam Chomsky, Eric Foner, Benjamin Barber, Richard Rorty, Joseph Stiglitz, Philip Zimbardo, Howard Zinn i kilkunastu innych... Wszyscy wyrażają sprzeciw wobec Ameryki, jaką ukształtowały ostatnie dekady, a zwłaszcza administracja Busha. *Ameryka zbuntowana* nie ogranicza się jednak wyłącznie do krytyki bushowskiej polityki – nie wymagającej przecież zbyt wielkiego rozeznania, choć w Polsce ciągle jeszcze mało popularnej – lecz sięga znacznie głębiej. Interlokutorzy Domosławskiego próbują odnaleźć przyczyny konserwatywnego zwrotu, jaki się dokonał w amerykańskim społeczeństwie wraz z końcem burzliwych lat sześćdziesiątych. W efekcie otrzymujemy obraz współczesnej Ameryki oczami jej najznamienitszych krytyków. Reprezentują oni, jak pisze Domosławski, „Stany Zbuntowane Ameryki”.



### Krytycyzm = antyamerykanizm?

Podstawą każdej demokracji jest możliwość krytyki, swobody dyskusji i wolności słowa. W USA ta prawda zawsze była szczególnie ceniona. Po rozpoczęciu „wojny z terrorem” wiele się jednak zmieniło. Jak każda wojna tak i ta pociągnęła za sobą „szczególne środki”, takie jak porwania, tortury, więzienie bez sądu, tajne rewizje, podsłuchy, zatrzymania na podstawie wyznania, bądź pochodzenia, a nawet skrytobójstwa. Bezpieczeństwo ma swoją cenę. Nie wszyscy jednak byli skłonni ją zaakceptować, tym bardziej, że z czasem okazało się, że prezydent i jego świta, wprowadzili w błąd opinię publiczną, wklajając kraj w krwawą i kosztowną wojnę na Bliskim Wschodzie. To skłoniło wielu do otwartej krytyki rządu nie tylko poza granicami Ameryki, ale także wewnątrz niej. Fala tej krytyki była tak duża, że aż zaskoczyła jej adresatów. W geście samoobrony rząd i jego poplecznicy wytworzyli doktrynę antyamerykanizmu, wedle której ci wszyscy którzy krytykują prezydenta i jego rząd to antyamerykanie i antypatrioci.

Cóż w tym nowego – ktoś mógłby spytać nie bez racji – przecież to stara i skuteczna praktyka stosowana także poza granicami USA? Otóż, pomijając fakt, że to sztuczka rodem z

państwa totalitarnego, gdzie nieprawomyślnie myślący byli dyskryminowani jako Żydzi bądź wrogowie ludu, (w dzisiejszej Ameryce podobnego znaczenia nabrało słowo „liberał”) to godne odnotowania jest to, iż w historii walki politycznej w USA jest to termin rzeczywiście nowy. Wcześniej podczas zimnej wojny, jak stwierdza znakomity historyk Eric Foner, krytycy rządu byli oskarżani *jedynie* o postawę antyamerykańską. Dziś mówiąc o antyamerykanizmie sugeruje się nienawiść do Ameryki bądź zamach stanu. Manipulacja kryje się w tym, że krytykę władzy utożsamia się z krytyką całego społeczeństwa. „Jeśli kochasz kraj musisz podążać za prezydentem; jeśli krytykujesz prezydenta, jesteś antyamerykański”, konkluduje Foner, naśladując nie północnokoreańskich propagandystów, lecz amerykańskich neokonserwatystów. Jego zdaniem, „prawica w Ameryce ‘uprowadziła’ zamachy z 11 września, wykorzystując szok, przerażenie ludzi, wzrost patriotycznych nastrojów – i teraz używa szantażu zbudowanego na tych emocjach do stygmatyzowania przeciwników i ograniczania wolności dyskusji w Ameryce”.

## Wojna z terroryzmem, wojna z czym?

11 września to data symboliczna, która odmieniła oblicze Ameryki i świata. To także początek „wojny z terroryzmem”. Terroryzm to zjawisko stare jak cywilizacja. Według obecnej definicji amerykańskiej armii terroryzm to „rozmyślne zastosowanie siły lub groźby użycia siły w celu osiągnięcia celów politycznych, religijnych lub ideologicznych poprzez zastraszanie lub przymus”. Jak zauważa największy dysydent Ameryki — N. Chomsky taka definicja kwalifikuje USA (ale także Wielką Brytanię) do grona państw terrorystycznych. Przyjmując dodatkowo „doktrynę Busha”, która rozszerza tę definicję o państwa udzielające schronienia terrorystom, zdaniem Chomskiego, Stany należy zaliczyć do *czołowych* państw terrorystycznych. Jakkolwiek kontrowersyjnie by to nie brzmiało, Chomsky podaje wymowne przykłady. Orlando Bosch, którego FBI oskarżało o 30 zamachów terrorystycznych, w tym jeden z 1976 roku, w którym zginęło 73 ludzi, został ułaskawiony przez prezydenta Busha Pierwszego i do dziś żyje szczęśliwie na Florydzie, współpracując z komórkami terrorystycznymi, które atakują Kubę z terytorium USA. Innym przykładem jest Emmanuel Constant, dowódca grup paramilitarnych kooperujących z CIA na Haiti na początku lat dziewięćdziesiątych, który odpowiedzialny jest za zamordowanie około czterech tysięcy ludzi. Gdy do władzy powrócił Jean-Bertrand Aristide (wcześniej obalony podczas zamachu stanu), Constant zbiegł do USA i żyje spokojnie w Queens w Nowym Jorku pomimo licznych próśb o ekstradycję złożonych przez rząd w Haiti. Jest jeszcze przypadek Saddama Husajna, z którym rząd USA współpracował w czasie kiedy popełniał największe zbrodnie, ale to osobny wątek.

Ktoś mógłby oponować i stwierdzić, że to nic strasznego, albowiem Stany traktują tych ludzi instrumentalnie i liczy się przede wszystkim walka z dyktaturą. Dlaczego jednak akurat wybiera się te, a nie inne kraje? Nie od dziś wiadomo, że rząd USA wspiera reżymy w Arabii Saudyjskiej czy Egipcie, gdzie prawa człowieka łamie się równie często, a może częściej niż na przykład na Kubie.

O co zatem chodzi z tym terroryzmem? Wedle Chomskiego „Stany Zjednoczone nazywają własny terroryzm walką z terroryzmem”. To oczywiście spore uogólnienie i jak wszystkie uogólnienia cierpi na zarzut jednostronności. Problem polega jednak na czym innym. To abstrakcyjność i niejednoznaczność samej kategorii terroryzmu stanowi źródło kontrowersji. Były doradca prezydenta Clintona — B. Barber, twierdzi wręcz, że nie ma czegoś takiego jak terroryzm! To znaczy istnieją pojedyncze akty terroru, ale nie ma jednego terroryzmu. Istnieją za to takie organizacje przestępcze jak ETA, Hezbollah, Hamas i Al.-Fatah — walczące o niepodległą Palestynę, irańscy ajatollahowie, talibowie i wreszcie – Osama ben Laden. Wszyscy oni łądzą w jednym worku z napisem terroryzm, tymczasem są to często różne i nie powiązane ze sobą grupy. Poza tym jak zauważa Barber, jeśli nawet zaakceptujemy ten termin z całą jego semantyczną hipoteką, to i tak nie będzie to zjawisko na tyle szerokie, by było warte wojny. „Terroryści, niezależnie od charakteru swych czynów, są jednak przestępcami. I jako tacy powinni być traktowani – czyli ścigani przez Interpol, agencje wywiadowcze i stawiani przed sądami krajów i sądami międzynarodowymi jako kryminaliści. Ogłaszając wojnę z terroryzmem, podnosi się rangę wroga, wybiera politykę opartą na strachu, a także angażuje się w niekończącą kampanię, nie mającą zresztą szansy na zwycięstwo”.

Paradoks wojny z terroryzmem polega na tym, że mnoży więcej terrorystów, aniżeli odejmuje. To efekt traktowania terroryzmu jak kwestii politycznej. Dowody na poparcie tej tezy łatwo można odnaleźć na ulicach Bagdadu czy Kabulu. Prawdziwa wojna toczy się w

rzeczywistości o umysły młodych Arabów, dla których antyzachodnia ideologia stanowi często jedyną szansę odreagowania biedy i marnych horyzontów życiowych. Jeśli Ameryka chce tę wojnę wygrać, musi zmienić strategię i pomóc wyciągnąć te kraje z biedy i zacofania, a nie prowokować fundamentalistyczne postawy. Tylko, czy to się w ogóle opłaca?

## Pan Bóg i polityka

Głęboka religijność była silnie zakorzeniona w Ameryce od samego początku. Purytanie, którzy przybyli z Europy, byli ludźmi pobożnymi o nad wyraz surowych zasadach moralnych. Zasada rozdziału państwa od religii była jednak ze względu na pamięć o katastrofalnych skutkach wojen religijnych na Starym Kontynencie, równie niepodważalna jak wiara w Boga. Kontrkulturowa rewolta, w tym przede wszystkim rewolucja seksualna i feministyczna znacznie poluźniły religijny gorset, ale jednocześnie wywołały reakcję przeciwną. Od lat siedemdziesiątych narastały nastroje konserwatywne, a nawet fundamentalistyczne. Po aferze seksualnej prezydenta Clintona przybrały one formę świętego oburzenia pośród radykałów. Dlatego też, kiedy na scenie pojawił się G. W. Bush – „ponownie narodzony chrześcijanin” – sprawy nabrały własnego rozpędu. Już podczas kampanii wyborczej na prezydenta, Bush deklarował, że to sam Pan Bóg kazał mu kandydować. Potem wielokrotnie przyznawał się do osobistych kontaktów z Najwyższym. Konsultował się z Nim osobiście tuż przed inwazją na Afganistan oraz Irak i często podkreślał, że bez wsparcia z nieba, nigdy nie uniósłby ciężaru wojny.

Jedno jest pewne: z pewnością nie wygrałby wyborów, albowiem religijna prawica, a w szczególności biali ewangelikanie, dla których stał się wręcz idolem, to stały elektorat Busha juniora. Dla byłego republikanina — K. Phillipsa obecny zwrot w polityce kraju to początek teokracji. Według niego, wcześniej było tak, że jedna partia przyciągała wiernych jednego wyznania, a druga innego. I tak protestanci tradycyjnie głosowali na Republikanów, katolicy na Demokratów. Teraz najbardziej religijni ludzie wszystkich wyznań głosują na Republikanów. Ocenia się, że stanowią oni 40 procent ich elektoratu. Poza tym wszyscy oni są zainteresowani zacieśnieniem sojuszu pomiędzy religią a państwem. Phillips ujmuje to tak: „Dziś biali ewangelikanie nalegają, żeby polityczni przywódcy słuchali religijnych, a religijni wywierali presję na polityków”.

Ewangelikanie stanowią oczywiście mniejszość, jeśli jednak weźmiemy pod uwagę ich walkę z teorią ewolucji, kampanię na rzecz kreacjonizmu (co w niektórych stanach przynosi już efekty w postaci wprowadzenia zajęć z „Inteligentnego Projektu”), komórkami macierzystymi (federalne fundusze na badania zostały na razie wstrzymane), aborcją oraz z planowaniem rodziny, to możemy dojść do wniosku, że sprawy rzeczywiście idą w złym kierunku. Osobiście jednak skłaniam się ku opinii Barbera, który nie wierzy, by to wszystko miało się skończyć teokracją, albowiem jak pokazuje historia, ruchy odnowy religijnej to zjawiska cykliczne i zawsze potem wywołują reakcję przeciwną. Miejmy nadzieję, że i tym razem będzie podobnie.

## „Kapitalizm kołesistów” i deficyt demokracji

W Stanach istnieje takie określenie jak „kapitalizm kołesistów” (*crony capitalism*), które odnosi się do korupcyjnych związków polityki i biznesu. Mówi się, że w Teksasie to wręcz tradycja. Bushowie i inne rodziny przede wszystkim z branży naftowej zbijają majątek dzięki takim powiązaniom. Mechanizm jest prosty. Wystarczy wesprzeć finansowo kampanię jednego z kandydatów, a jego wdzięczność z pewnością znajdzie jakieś odzwierciedlenie w późniejszych nominacjach. Można także manipulować przy zamówieniach publicznych, jak to miało miejsce w przypadku wojny w Iraku.

Są jednak bardziej subtelne metody. Media stanowią tu szerokie pole do popisu. Oczywiście nikt nie będzie dzwonił do zarządu stacji telewizyjnej czy gazety i wywierał bezpośrednią presję. Najskuteczniejszą metodą jest polityka selekcji informacji. I tak gazeta krytykująca rząd łąduje, jak to się mówi, poza głównym nurtem informacji i wypada poza margines społecznej debaty. Można też samemu założyć gazetę — wystarczy raptem 50 mln dolarów – i na własną rękę uprawiać „kreatywne dziennikarstwo”.

Wszystko to przeczy ideologii „wolnego rynku”, którą tak ochoczo wyznają Republikanie. Świat biznesu jest jak najbardziej daleki od tego, by państwo nie angażowało się w ich sprawy. Dla niektórych branż, jak przemysł zbrojeniowy czy naftowy przyjazna ingerencja państwa to

podstawa istnienia. Jak zauważa znany ekonomista — J. Stigliz, w Ameryce leseferyzm to jednocześnie duży rząd i przywileje korporacyjne. Gdzie tu konsekwencja?

Zdumiewające jest to, że Republikanie jako partia faworyzująca ludzi bogatych, przeciągnęła na swoją stronę biedniejsze warstwy społeczeństwa, stawiając siebie jednocześnie jako tych, którzy bronią „uciskanej mniejszości”. Thomas Frank w głośnej książce *What's the Matter with Kansas* dochodzi wręcz do wniosku, że biedacy z Kansas, głosząc na Republikanów, głoszą wbrew swoim interesom. Jak to możliwe? Oczywiście Republikanie nie mówią wprost, że obniżając podatki mają zamiar obdarować najbogatszych, lecz używają uwodzicielskiej retoryki, twierdząc, że „cięcia podatków zwiększają produkcję!”. O tym jednak, że wzrost produkcji nie musi iść wcale w parze ze wzrostem dochodów najbiedniejszych, milczą. Zresztą, ostatnie lata potwierdziły to, co próbowano ukryć. Cięcia podatkowe, jakie wprowadziła administracja Busha, powiększyły znacząco nierówności społeczne i doprowadziły do rekordowego deficytu. A mimo to prawica wygrała...

Dla niektórych to zwycięstwo oznaczało dewaluację znaczenia pojęcia klasy społecznej, która obecnie zdecydowanie bardziej zależy od kwestii kulturowych niż statusu materialnego. Jak to możliwe? Zdaniem jednego z publicystów — J. Schella, dzieje się tak, gdyż dla biedniejszych ludzi kwestie religijne i obyczajowe stały się ważniejsze, niż ekonomiczne. Duży wpływ na to zjawisko miał szczególny, klasowy język, jakim posługują się Republikanie. „Prawica mówi, że 'podtrzymuje etyczne wartości zwykłych Amerykanów' i przeciwstawia się ich 'skorumpowanej, perwersyjnej elicie ze wschodniego wybrzeża', która popiera małżeństwa gejów i opowiada się za dopuszczalnością aborcji”. Uwzględnwszy fakt, że od kilku lat w rękach prawicy znajdują się wszystkie trzy władze, zdaje się, że to skuteczna taktyka.

Nie przeceniajmy jednak nazbyt znaczenia amerykańskich preferencji politycznych. Tylko 10 procent amerykańskiego społeczeństwa twierdzi, że kieruje się względami merytorycznymi w wyborach. Co z resztą? Pozostali stawiają raczej na *image*. Bush junior wygrał po raz drugi nie tylko dlatego, że uderzył w religijne tony, lecz przede wszystkim dzięki temu, że przekonał publiczność do swojej roli twardego szeryfa robiącego porządek ze złymi facetami. Taka narracja najwidoczniej ciągle wywołuje poklask u amerykańskich wyborców, choć western już dawno temu zszedł z afiszów.

Nie idzie tu jednak wyłącznie o gusta. Gra toczy się bowiem o amerykańską demokrację. Niektórzy mówią wręcz o jej deficycie. Łatwość z jaką ograniczono swobody obywatelskie w imię wojny, nierówny dostęp do informacji w mediach, „przyjazna” polityka wobec bogatych, wszystko to daje do myślenia i z pewnością nie nastroja optymistycznie do „imperium wolności”.

## Międzynarodowy policjant

Na koniec spytajmy: czy świat w ogóle potrzebuje lidera, międzynarodowego arbitra? Uważam, że póki istnieją dyktatury i kraje o skłonnościach imperialistycznych, to tak. Pytajmy dalej: czy Stany Zjednoczone sprawdzają się w roli takiego arbitra? B. Barber widzi to tak: „czy nam się to podoba czy nie, Ameryka jest żandarmem i nim będzie, bo ma najpotężniejszą armię i interesy na całym świecie. Nie ma ucieczki od tej roli Ameryki. Problemem jest to, jak będziemy tę rolę odgrywać. To tak jak z policjantem we wspólnocie mieszkańców: dobrze jest mieć wśród nich przyjaciół, a wszystkim będzie lepiej; lepiej być policjantem, który jest traktowany jako część wspólnoty, a nie jej prześladowca. A przyjaciele zdobywa się przez współpracę, słuchanie. Można być przecież częścią zespołu i zarazem jego liderem”.

Stany jednak to kiepski lider. To lider, który walczy o demokrację tylko tam, gdzie to się opłaca. To lider, który jest arogancki zarówno wobec podbitych krajów jak i swoich sojuszników. To lider, który grzeszy pychą i któremu obcy jest samokrytycyzm. Czy naprawdę to jedyny lider na jakiego nas stać?

Rezultatem rewolucji amerykańskiej było oddzielenie się trzynastu kolonii północnoamerykańskich od Wielkiej Brytanii oraz ich przekształcenie w Stany Zjednoczone Ameryki. Jakie będą rezultaty buntu intelektualistów? Nie wiem. Wiem jednak, że rewolucje często zaczynały się z góry. Zresztą nieważne, czas na zmianę!

**Artur Domosławski, Ameryka zbuntowana. Siedemnaście dialogów o ciemnych stronach imperium wolności, Warszawa 2007, s. 285.**

Absolwent ekonomii i filozofii. Studiował w Olsztynie, Bremie i Bernie. Zainteresowania: filozofia kultury, religii i polityki.

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 21-09-2008)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,6081) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,6081>)

Contents Copyright © 2000-2008 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora.

Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do [redakcja@racjonalista.pl](mailto:redakcja@racjonalista.pl)